

HENRYK DAJCZER (Lublin)

DWÓJA

Lolek obudził się. Oczy są jeszcze przestonięte mgiełką niewyspania, głowa ociężała i bezwładna...

Za oknem niebieskawa szarość świtu łączy się z matową szarością mgły. W mieszkaniu ściele się poranna cisza i słychać miarowe oddechy śpiących jeszcze rodziców i rodzeństwa.

Jest bardzo wcześnie — myśli leniwie Lolek.

Nagle przypomnienie przeszywa mu mózg i wypędza zeń resztki sennych oparów. Łacina!... Odrabianie łaciny pozostawia sobie zwykle na te pół godziny przed wstaniem, gdy umysł jest rzeźki, świeży i chłonny. Więc i teraz wyciąga rękę do stojącej przy łóżku teki i wydobywa z niej podręcznik łaciński. Najpierw — słówka do dzisiejszego ustępu. Jest ich z pół stroniczki. Mało...

Lolek czyta powoli, sylabizuje, powtarza, jakby delektując się swym głosem.

— Corumpo, corrumpere, corumpi, corruptum...

— To brzmi jak zgrzyt zardzewiałego żelaza — wpada mu nagle do głowy.

Uczy się dalej... Słówka wkuwane, wypowiedane niezliczoną ilość razy, układają mu się w mózgu ciężkimi niewzruszenie zwalami, utrwalają się we wzorowym porządku aptecznej szafy. Już. Umie.

A teraz przekład rozdziału tego... tego... Sallustiusza: „Wady i zalety Katyliny“ — to tytuł, a dalej: „Lucjusz Katylina urodzony szlachecko“... Nie, nie — w szkole tłumaczono przecież inaczej.. Aha, Lucjusz Katylina pochodzący z szlacheckiego rodu“... I dalej: „odznaczał się wielką siłą zarówno fizyczną jak i moralną“...

Powoli, powoli, myśląc się stale, poprawiając, odkrywa Lolek polskie znaczenie łacińskiego tekstu. Tymczasem prostokąty okien coraz bardziej błękitnieją, a z sąsiedniego pokoju dobiega-

ją odgłosy rozmowy między rodzicami. Lolek włącza stojące w kącie radio.

— Pan premier przyjął dziś na specjalnej audiencji...

Lolek wciąga gorączkowo spodnie i zaczyna zwykle, codzienne szukanie skarpetek.

Lacinnik wpada do klasy w jakie pięć minut po drugim dzwonku. W przejściu rzuca dziennik na pulpit katedry, po czym niemniej zamasyżuje opadła na skrzypiące krzesło. Jest dziś taki sam jak zwykle. Szybki, ruchliwy, spieszący się stale... Sprawdza błyskawicznie listę obecności, zeskakuje z postumentu katedry, chwytając pierwszy lepszy podręcznik i maszeruje energicznie między dwoma rzędami ławek. Lolek ukradkiem przekłada sobie dzisiejszą lekcję: „Lucjusz Katylina pochodzący z szlacheckiego rodu“...

Łacinnik wciąż jeszcze kręci się bezcelowo pod obstrzałem wielu niespokojnych oczu. Tam i spowrotem, od tablicy do ściany, od ściany do...

— Tłumacz! — wyciągnięta wskazując ręką niemal dotyka czyjś nosa. Plecy tego kogoś momentalnie garbią się nad pulpitem ławki i cichy, zduszony jakby głos przerywa denerwującą już ciszę: „Lucjusz Katylina...“

Lolek wodzi palcem pod rządami czarnych czcionek i kontroluje w myśli tamtego. Już. Kropka. Dobrze przełożył... — myśli Lolek.

— Dobrze — mówi łacinnik. — A teraz zrobimy sobie rozbiór gramatyczny.

— Cooo? — drze się w myśli Lolek.

Czuje, jakby go kto trzepnął obuchem w tył głowy i poprawił kułakiem między oczy. W głowie samum, tajfun, cyklon... Kiedy on miał ostatnio w ręku łacińską gramatykę? Zdaje się, że w zeszłym roku, przed wakacjami. Przecież on pojęcia nie ma.

Z życia szkolnego

— Zrobi nam to... — cedzi powoli łacinnik.

To niedokończone zdanie wi- si nad klasą jak jastrząb nad gołębiem. Kto? kto? kto?

Lolek boi się, kurczy w sobie, kuli... Nagle przychodzi mu na myśl stary kawał, świetny sposób uniknięcia zapytania. Zwal- cza w sobie straszny niepokój, odwraca głowę w stronę łacinnika i krzywi wargi w lekkim, pełnym pewności siebie uśmiešku. Uśmiešek ten oznacza: „Znam to wszystko na pamięć. Spytaj mnie, spytaj!“

Ryzykuje, ale może właśnie dlatego — udaje się! Łacinnik zatrzymuje się gdzieś przy ścianie, przy ostatniej ławce. Ktoś wstaje, ktoś coś mówi... Pytania, odpowiedzi.

Lolek słucha, niby już sobie coś niecoś przypomina, ale to coś jest tak mgliste, tak nieuchwytnie... Probuje się skupić, myśleć... Jakże to trudne... Wszystko rozpada się, rozsy- puje, rozplywa, niknie...

W głowie — idealna próżnia, czy też przylegające ściśle do siebie, zwarte, zbite pakuły. Nie ma tu miejsca dla jakiegokolwiek myśli... Zostaje tylko głupia świadomość własnej ignorancji, straszna niepewność i bierne wyczekiwanie na Przeznaczenie...

Łacinnik w swym bezustan- nym marszu przystaje nagle przy jego ławce. Lolek widzi granat jego garnitur, nakrapia- ny rzadko cienkimi, białawymi nitczkami, zarzysy kłap, krawat, miękki kołnierzyk, zmarszczyki szyji, podbródek. Podbródek porusza się... Widocznie łacinnik coś mówi...

Nagle szturchnięcie. To sąsiad. Patrzy na Lolka ze zdziwieniem i wskazuje na książkę. Lolek rozumie. Stało się!... Bierze książkę do ręki i powoli wstaje. Jest teraz wyższy od stojącego tuż obok łacinnika. Z jego zadartej nieco w górę twarzy, zza ko- puły czoła patrzy wyczekująco

na Lolka dwie szaro - zielone gałki oczu.

— No...

Trzeba coś powiedzieć, trzeba coś powiedzieć... — kołocze się gorączkowo w mózgu Lolka. Wszystko jedno co... — byleby nie stać tak w milczeniu No tak, ale nie można przecież powiedzieć na przykład, że mamy piękną pogodę... Jakiś gramatyczny termin, jakiś „coniunctivus“ jakiś „ut“, jakiś „cum“.

Cichy, cichutki szept podpowiedzi płynie mu do uszu, ale tu właśnie zaciera się zamienia w niezrozumiały szelest. Tymczasem łacinnik wciąż czeka...

— To jest coniunctivus — decyduje się wreszcie Lolek.

— Dobrze, ale jaki?

Dobrze, więc zgadł. Ale teraz. Jaki? Jaki? Lolek usiłuje myśleć. O czym to mówiono wpi-erw w klasie? A łacinnik czeka... Może się domyślić.

— Coniunctivus perfecti — mówi pospiesznie Lolek.

— Co takiego? — czoło łacinnika marszczy się w demonstracyjnym zdumieniu.

Trzeba cofnąć się, odwołać tamto, zaprzeczyć, zaprzeczyć!

— Nie, nie, panie profesorze. To jest coniunctivus (jaki, jakie?) yyy... yyy...

— Aha, mówi spokojnie łacinnik i Lolek wie dobrze, że to „aha“ jest stokroć gorsze od poprzedniego „co takiego“. To już koniec.

Łacinnik sięga powoli gdzieś za marynarką, grzebie tam przez dobrą chwilę i wydobywa mały, czarny notes. Wyciąga wyczekując rękę. Ktoś usłużny podaje mu pióro.

Lolek wciąż jeszcze stoi w ławce. Patrzy... Czarna czer- towa okładka. Za nią miga szybko wieczne pióro... I już. Zapisał Lolek siada. I nagle znika błyskawicznie chaos w mózgu.

Myśli — dzikie rumaki — stają się od razu posłuszne, łagodne jak baranki... Znika dławiający strach, znika naprężone wyczekiwania.. Już po wszystkim. Nie trzeba już drzeć, obawiać się pytania.

Oddycha głęboko i rozgląda się po klasie. Plecy pochylone nad pulpitemi, blade twarze, oczy niespokojne, rozbiegane...

Naprężenie, niepokój... Może mnie teraz zapyta? może mnie? — myślą wszyscy.

Lolek beztrudno zamyka swoją książkę. Już jest po tym wszystkim. Nic a nic go nie obchodzi.

Sąsiad patrzy na niego z żywym współczuciem, zda się jeszcze chwila, a poklepie go pocieszająco po ramieniu.

Lolek parska mu w oczy cichym, kłującym, ironicznym śmiechem.

